ROZDZIAŁ SZÓSTY

Żeglarskie wspomnienia



Z Leonem Frąckowiakiem, urodzonym w 1913 roku, jestem zaprzyjaźniony od bardzo wielu lat. Mimo znacznej różnicy wieku zawsze zwracaliśmy się do siebie po imieniu. Nie pamiętam kiedy było inaczej.

Należeliśmy do wielu organizacji społecznych uczestniczyliśmy wspólnie w wielu imprezach. Byliśmy wspólnie na „Balu maskowym" bo razem ten bal organizowaliśmy. Nigdy nie rozmawialiśmy na tematy wodniackie oraz o tym jak wyglądał Zbąszyń w latach międzywojennych

Dzisiaj, w dniu 21 września 2004 r., zwróciłem się do Niego z prośbą o rozmowę na ten temat, bo Leon jest chyba ostatnim uczestnikiem uprawiającym wówczas sporty wodne.

Żeby rozmowa była łatwiejsza i wyczerpywała temat umówiliśmy się że będę zadawał pytania na interesujący mnie temat i w kolejności oczekiwał odpowiedzi.

Zbigniew Zimny: - Drogi Leonie wiadomo ze byłeś jednym z trzech członków załogi w wyprawie kajakowej w 1933 roku w rejsie na obchody „Dni Morza" do Gdyni. Opowiedz jak do tego doszło.

Leon Frąckowiak: - Byłem członkiem klubu sportowego „Obra" i wspólnie z Basińskim i Pieszchalskim, bo wspólnie interesowały nas sporty wodne, i któryś z nas poruszył ten temat o rejsie i tak z marzeń powstał kajak. Z myślą o rejsie wspólnie go budowaliśmy. Plany kajaku czerpaliśmy z istniejących wzorców, których wokół było pełno.

ZZ: - Dlaczego płynęliście w barwach klubu sportowego kiedy od trzech lat istniała Liga Morska i Kolonialna.

LF: - Liga Morska i Kolonialna powstała z inicjatywy wojskowych - podoficerów rezerwy, stronili od nas.

ZZ: - Opowiedz jak mieszkańcy Zbąszynia korzystali z dobrodziejstw bliskości jeziora i rzeki Obry.

LF: - Pamiętam, że za czasów mojej młodości na jeziorze kąpielisko łazienki były w innym miejscu, tam gdzie teraz są wędkarze, miedzy obecna plażą a Dąbkami. Później jak magistrat wybudował obecne, a raczej wcześniejsze, bo jakiś czas po wojnie rozebrano. To miejsce po pierwszych łazienkach zwaliśmy Starą Kąpielnią.

ZZ: - Czy możesz opowiedzieć jak wówczas ta „Stara kąpielnia" wyglądała?

LF: - Nie bardzo dokładnie teraz pamiętam, lecz to co pamiętam to był bardzo długi półkolisty głęboko wychodzący w jezioro pomost, na końcu którego był rząd kabin. Z kabin do wody wychodziło się schodkami w stronę brzegu.

ZZ: - Jakie lodzie wówczas pływały po jeziorze.

LF: - Takie jak dzisiaj, niektóre bardzo wymyślne, wszystkie miały wiosła i nikt nie wypływał daleko. W Zbąszyniu były dwie wypożyczalnie łódek, jedna w Łazienkach, a druga na Obrze przed mostem, jak pamiętam przy twojej obecnej posesji. Przeważnie pływało się po rzece. W pogodne niedzielne dnie to tego było mrowie

ZZ: - Wiadomo, że jezioro należało do hrabiego Skórzewskiego. Czy ta sytuacja utrudniała dalsze wypływanie na jezioro.

LF: - Tak Trzeba było uzyskiwać zezwolenie od rządcy majątku. Była też granica państwa, którą Niemcy dosyć pilnowali by nikt się nie pętał.

ZZ: - W 1946 roku harcerze wydobyli zatopioną piękną machoniową żaglówkę ponoć była własnością hrabiego.

LF: - Nie pamiętam by przed wojną po jeziorze pływały jakieś zagłówki, ale skoro taka łódka była to hrabia musiał pływać.

ZZ: - Leonie zmęczyłem Ciebie tymi pytaniami, ale ciekawość tych czasów jest wielka. Jeszcze ostatnie pytanie.

Czy widziałeś hrabiego, bo przecież pałac miał w samym mieście, oraz czy hrabia utrzymywał kontakty z mieszkańcami.

LF: - Tyle co wiem miał swoje towarzystwo, nie utrzymywał kontaktów z miejscowymi a widziałem Go chyba jeden raz i to w przejeździe bryczką.

ZZ: - Leonie pytań było by więcej bo czasy mało znane i tym samym ciekawe, ale rozumiem Twoje zmęczenie.

Dziękuje za przeprowadzoną rozmowę.

Na zakończenie naszej rozmowy zrobię Tobie z córką pamiątkowe zdjęcie.

Leon Frąckowiak

Zbąszynianin, działacz sportowy,
przedwojenny członek Klubu Sportowego "Obra",
w barwach którego uczestniczył w wyprawie kajakiem
ze Zbąszynia do Gdyni na obchody "Dni Morza" w 1933 roku.
Urodzony w Zbąszyniu w 1913 r.
Nestor sportów wodnych.



Na zdjęciu Leon Frąckowak z córką Włodzimierą
podczas rozmowy o przedwojennym wodniactwie w Zbąszyniu

Przedruk z książki w języku niemieckim
"Bentschen Stadt" ("Miasto Zbąszyń") wyd. 1913 r.



Przedstawione zdjęcie pokazuje rozlewiska rzeki Obry na starej tamie
Tłumaczenie treści na zdjęciu:
Ogólne spojrzenie z budynku szkoły na wschód



Stara kąpielnia na jeziorze.

Wspomnienia dr hab. Kazimierza Lutomskiego

Współtwórcy Zbąszyńskiego Żeglarstwa

Lata 1945 - 1953

Po zakończeniu wojny, również w Zbąszyniu odżył ruch harcerski. Odzyskanie wolności wyzwoliło uczucia patriotyzmu, szczególnie młodzież spragniona była działań, niemożliwych podczas okupacji. Inicjatorem odrodzenia drużyny harcerskiej, wg mojej pamięci, był m.in. Janek Domagała i zapewne mój brat, Zygmunt. Wspierającymi byli starsi druhowie, z doświadczeniem z przed wojny. Na pewno byli wśród nich Haegenbarth, bracia Fritsche. Krótko po zorganizowaniu drużyny (w maju 1945 r. ?)zaczęliśmy się interesować "wodą", t.j. naszym jeziorem, nad którym większość z nas się urodziła. Wyrazem szerszych zainteresowań już "dużą wodą" była moja wyprawa wspólnie z Tadziem Bawolskim "Bawołem" w czerwcu 1945 do Gdyni, na pierwsze po wojnie Święto Morza. Pojechaliśmy w mundurkach harcerskich, z łabędziem, herbem Zbąszynia, wyszytym na lewych rękawach. Po uroczystej Mszy św. u podnóża Kamiennej Góry w Gdyni, wzięliśmy udział w defiladzie, w której poza oddziałami Marynarki Wojennej, maszerowały setki harcerzy z całej Polski. Zobaczyliśmy morze wówczas po raz pierwszy. Morze, port jachtowy i cumujące w nim jachty zrobiły na nas, szczurach lądowych, duże wrażenie.

Miejscem naszych bezpośrednich zmagań z wodą stało się jezioro Zbąszyńskie, "Błędno". Na nim odbyły się pierwsze rejsy na zdobycznych, poniemieckich pontonach wojskowych, których kilka zdobyliśmy w nieznany mi sposób. Były to dwa duże pontony 8-osobowe, oraz chyba 2 lub 3 mniejsze, 2-4 osobowe. W wyposażeniu były pompy nożne, pagaje, czyli drewniane wiosła. Przeprawialiśmy się na nich kanałem od ul. 17 Stycznia do jeziora, prze zalane łąki, wzdłuż promenady, wypływaliśmy na jezioro. Pamiętam udział w nich Janka Domagały, Henia Sobańskiego i innych Kolegów.

Początków powojennego żeglarstwa w Zbąszyniu upatrywałbym już w roku 1945, kiedy drużyna harcerska uzyskała trzy (chyba ?) kajaki, które udostępnił nam Pan Owoc, ojciec Henia i Zenka Owoców. Z Zenkiem przepłynęliśmy przez jezioro, na przeciwległy brzeg, za Nądnię. Przebywała tam na biwaku nasza drużyna. Dla mnie przepłynięcie przez jezioro, przy przeciwnym wietrze i dość dużej fali było sporym przeżyciem. Jest to dowodem, że jezioro Zbąszyńskie działało na wielu z nas niczym magnes. Według zapisu w mojej książeczce harcerskiej, drużyna była już w roku 1946 Harcerską Drużyną Żeglarską im. M. Beniowskiego.

Poza wymienionymi kajakami, mieliśmy też niewielką, przedwojenną łódź żaglową klasy P7 ("Rybitwa" ?). Wyposażona w ożaglowanie gaflowe, była zapowiedzią prawdziwego jachtu. Jak na nasze ówczesne wyobrażenia, chodziła jak burza. Następnie doszedł kolejny kajak, nieco większy od poprzednich, który zaopatrzyliśmy w żagiel Łaciński, uszyty z ponie-

mieckich płacht namiotowych. Dzięki temu wyglądał dość oryginalnie. Rejsy po jeziorze "Rybitwą" i kajakiem ożaglowanym można zapewne uznać za pionierskie po roku 1945. Ten skromny sprzęt początkowo przechowywaliśmy w budynku w Parku Miejskim, tam gdzie obecnie mieści się restauracja "Podzamcze". Było to możliwe dlatego, że mieszkał tam ze swoimi rodzicami Heniu Majchrzak, członek drużyny żeglarskiej. Pobliska zatoczka była portem, oczywiście żadnego pomostu nie było, łodzie stały w trzcinie.

W tym czasie (1946 ?)dowiedzieliśmy się, że w rzece Obrze, powyżej Nowej Wsi, gdzieś w okolicy Grójca, leży zatopiona łódź żaglowa, również poniemiecka. Jak się okazało, była w dość marnym stanie, mimo to pojechaliśmy po tę łódź. Jeśli się nie mylę, konia z wozem dał do dyspozycji Pan Jan Sobański, ojciec Henia. Tego jednak nie jestem pewien. Łódź była bardzo ciężka, namoknięta, z wielkim trudem udało się ją wyciągnąć z wody, załadować na wóz i dowieść, przez leśne, piaszczyste drogi koło Perzyn, do Zbąszynia. Okazało się, że łódź miała niezwykłą, oryginalną konstrukcję. Na szkielecie z drewna dębowego było poszycie z twardej płyty pilśniowej (!), na nim blacha cynkowana lutowana na złączach. W ramach remontu wykonywanego własnymi siłami w szopie u Janka Domagały położyliśmy nowy pokład, wykonaliśmy cały niezbędny osprzęt itp. Przy lutowaniu poszycia pomagali kolejarze, gdyż wymagało to odpowiednich narzędzi i umiejętności. Maszt był również "zdobyczny", pochodził prawdopodobnie z przedwojennej łodzi żaglowej hr. Skórzewskiego, znaleziony został na poddaszu budynku Łazienek Miejskich. Żagiel uszyła mama i siostra Tedzia Sarbaka (Sarboka ?), którzy mieszkali na parterze domu Janka Domagały. Łódź była bardzo ciężka, tym samym stateczna, można było na niej żeglować bez obawy na dużym wietrze. Ochrzszczona została nazwą "Czajka". Żeglować można zatem wówczas było na wspomnianym ożaglowanym kajaku, "Rybitwie" i "Czajce". Była to już flotylla co się zowie, można było pływać w szyku ! Były przy tym duże emocje, gdyż tylko Janek miał trochę pojęcia o żeglowaniu, reszta to byli czystej wody amatorzy. Z historii drużyny żeglarskiej warto wspomnieć o jej udziale (1946 r. ?) w uroczystości poświęcenia sztandaru (nie wiem jednak jakiego i czyjego) w Międzyrzeczu, dokąd przyjechał ówczesny Marszałek Polski, M. Rola-Żymierski. Mało interesowała na wówczas polityka, liczyła się wolność, biało-czerwone flagi. W defiladzie nasza drużyna maszerowała z wykonanymi specjalnie na ten cel drewnianymi wiosłami.

Kolejną, cenną zdobyczą był kadłub łodzi, nazwanej później "Czajka II Znana nam wszystkim wspaniała łódka, z poszyciem z klepki mahoniowej, była prawdziwym skarbem. W ramach pierwszego remontu otrzymała maszt

zrobiony z masztu flagowego przywiezionego (na rowerach !) z przejścia granicznego koło Dąbrówki. Maszt był lity, (nie drążony), przez to szalenie ciężki. Żagiel uszyły znów Panie Sarbakowe, pod nadzorem Janka. "Czajka II" pływała dzielnie, jednak przez duży ciężar masztu, mimo płaskiego dna, jej statetczność była słaba. Wymagało to uważnego żeglowania, mocnego balastowania. Doszło nawet kiedyś do tego, że z Frankiem Flejsierowiczem, przy niedużym wietrze, po nabraniu przez przecie kający kadłub wody, nie zdołaliśmy łodzi wybalastować. Położyło nas około 500m przed pomostem, do brzegu trzeba było cały kram holować na piechotę. Na szczęście jezioro w tym miejscu nie było przerażająco głębokie.

"Starszyzna" zadecydowała, że „Czajkę" uzbroić trzeba w prawidłowy takielunek. Zygmunt pojechał więc do Stoczni Jachtowej w Chojnicach, gdzie znany jeszcze przed wojną żaglomistrz i konstruktor Weyland wykonał elegancki masz i uszył komplet żagli "na miarę". Grot miał wówczas usztywnienia od liku wolnego do liku przedniego, równolegle do bomu. Była to duża klasa, na której wielu z nas doznało licznych przyjemnych wrażeń żeglarskich

W tym samym mniej więcej czasie (1946-1948 ?) uzyskaliśmy kolejną łódź, o nazwie "Syrena". Pochodziła z okolic Wolsztyna, typowa amatorska budowa, z charakterystycznym lekko podniesionym dziobem, ożaglowana jako kecz gaflowy.

W roku 1948 skierowany zostałem przez drużynę na kurs żeglarski w Kiekrzu. Kurs był zorganizowany przez Ligę Morską, przy współudziale poznańskich "Wilków Morskich", drużyny harcerskiej z przedwojennymi tradycjami, posiadającej w Kiekrzu ośrodek żeglarski i dobry sprzęt. Zdobyłem tam stopień sternika jachtowego, z pomnięciem stopnia żeglarza. Było to możliwe, gdyż byłem trochę opływany, miałem praktykę, którą drugiego dnia kursu sprawdzono i komendant, kmdr Edward Witczak mianował mnie zastępcą instruktora, powierzając łódź i 5-osobową załogę. Przeżyciem na tym kursie dla mnie był "biały sztorm,", który jakiś pewnego świątecznego popołudnia przeszedł nad Polską zahaczając o Kiekrz. Wyłożyły się prawie wszystkie łodzie będące na jeziorze. Moją, po alarmowym zrzuceniu żagli, zdołałem odwrócić rufą do wiatru, po czym wyrzuciło nas na zawietrzny brzeg. Jak fala ustąpiła, staliśmy na prostej stępce na łące, 5 metrów od wody.

Nie potrafię sobie przypomnieć, w którym roku na kurs żeglarski w Ośrodku Ligi Morskiej w Giżycku pojechał mój brat Zygmunt, Nie było to jednak później, niż w roku 1949. Zdobył tam stopień żeglarza.

Finansowanie dotychczas opisanej działalności było dość wariackie. Początkowo bazowaliśmy na ofiarności społeczeństwa, kwestując po

po prostu na ulicy lub chodząc z puszkami od mieszkania do mieszkania. Przejazd koleją na obozy był możliwy dzięki przychylności PKP, której pracownikami była większość naszych rodziców. Poza tym organizowaliśmy różne imprezy, zabawy, majówki, bale. Jednym z nich był "Bal Morza", wymyślony przez Janka Domagałę, w "Strzelnicy" sala była specjalnie udekorowana, wrażenie odnosiło się przebywania pod powierzchnią falującego morza. Dochód z tych imprez nie był wielki, pomocy finansowej udzielali w tych czasach właściciele istniejących wówczas jeszcze firm i przedsiębiorstw prywatnych. Na wymienienie zasługuje na pewno inż. Frankowski, twórca i założyciel przemysłu wikliniarskiego w Zbąszyniu. Gdyby nie tacy ludzie, żeglarstwo w naszym mieście nie odrodziłoby się tak szybko i tak łatwo. Po rozruchu, drużyna żeglarska w coraz większym stopniu współpracowała z Ligą Morską, która następnie przejęła całą działalność. Zapewne będziesz lepiej pamiętał te szczegóły, gdyż Zygmunt i ja przebywaliśmy już prawie stale poza Zbąszyniem. Ligę Morską można zatem uznać za kontynuatorkę wznowionej w 1945 roku przez harcerzy działalności żeglarskiej w Zbąszyniu. Z tych czasów przypominam sobie takie nazwiska, jak Pana Barańskiego, Piotra Furmana, który był chyba skarbnikiem. Poza nimi było jeszcze kilku innych, zaangażowanych w żeglarstwo działaczy, ich nazwisk niestety sobie nie przypominam, mam w pamięci tylko ich twarze.

Były to lata 1948-1949, po rozpoczęciu studiów na Uniwersytecie Poznańskim, moje dotychczasowe duże zaangażowanie w działalność żeglarską osłabło znacznie, mogło ograniczać się w zasadzie do okresów wakacji. Na skutek tego utrudniony dostęp do sprzętu klubowego, duża liczba, coraz większa, chętnych do żeglowania w Zbąszyniu oraz nie słabnące zainteresowanie żeglarstwem spowodowały, że zaczęliśmy z Zygmuntem myśleć o budowie własnych łodzi. Działający wówczas w poznańskim klubie żeglarskim AZS-u Bolesław Knasiecki, żeglarz znany nie tylko w Wielkopolsce, namówił nas do budowy drewnianych łódek klasy "Słonka", wówczas w Polsce prawie nie znanej, bardzo za to popularnej na Zachodzie zwłaszcza w Kanadzie. Udostępnił nam plany budowy takiej łodzi, w języku angielskim, wymiary w calach ang. Wszystko trzeba było przeliczać i przerysowywać. Na kupno tarcicy na ten cel musiałem mieć zgodę ówczesnego Przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej ! W tym samym czasie grupa aktywnych żeglarzy podjęła w klubie LM budowę również trzech "Słonek". Szefem i głównym wykonawcą był Piotr Małycha, poza tym budowę jednej "Słonki" rozpoczął Heniu Sobański. Było to duże majsterkowanie, zwłaszcza, jeśli idzie o mnie. Zakończyło się jednak pomyślnie, tak, że na jeziorze pojawiło się pięć nowych, klasowych łodzi.

Myślę, że wspólnie z Marianem Młodystachem, Heniem Sobańskim, Frankiem "Śpiączką" Andrysem, Tadziem Sobeckim i innymi kolegami przypomniecie sobie, jak tych pięć ładnych łódek żeglowało po jeziorze Zbąszyńskim. Jednego roku (?) przypłynęło do Obrą kajakami z Leszna kilku kolegów, znajomych z obozów i zlotów harcerskich, z którymi odbyliśmy regaty systemem "przesiadkowym". Nie przypominam sobie, kto wygrał, pamietam jednak wspaniałą pogodę w tych dwóch dniach, silny wiatr "od Nowej Wsi", dużą falę na jeziorze, prawdziwe żeglarskie warunki. Może są z tego okresu jakieś zdjęcia ? Ja nie mam żadnych, te które posiadałem, w czasie obchodów 50-lecia żeglarstwa zbąszyńskiego, za pośrednictwem mojej Mamy, oddałem do dyspozycji organizatorów. Przez grzech zaniedbania nie wiem co się z nimi stało, już do mnie nie wróciły.

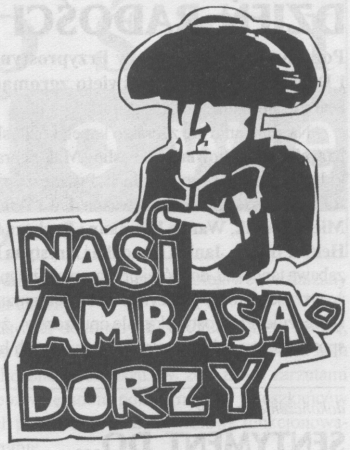
To co napisałem wyżej, nie może mieć znaczenia historycznego. Są to moje dość luźne wspomnienia, jak tylko mogłem ułożone chronologicznie. Trzeba byłoby je zweryfikować, z Waszą pomocą umieścić w czasie. Wiele z faktów pamiętam bardzo dobrze, mam przed oczami jezioro, pierwszą przystań w Parku, potem budowę baraku w Dąbkach, metalowej wieży obserwacyjnej, budowę licznych pomostów, które nie mogły przetrwać zimy, obozy żeglarskie w Wąchabnie, liczne, nieustające zebrania i narady. Były to wspaniałe czasy, z których chciałoby się zachować w Pamięci jak najwięcej.
Dobrze, że podjąłeś się trudu ujęcia tego wszystkiego w słowa, aby pamięć o naszych wspólnych dokonaniach nie zaginęła całkowicie.

ps. Przepraszam za niechlujną formę tego tekstu. Piszę go na zwykłej maszynie, komputera jeszcze do tego celu nie udało mi się opanować

ps. ps. Nie potrafię zlokalizować w czasie momentu pojawienia się w Klubie DZ-ki i bączka, otrzymanych w darze (?) z Marynarki Wojennej. Mam wrażenie, że w dokumentach, fotografiach lub wspomnieniach znajdą się ślady tego faktu.

Pozdrowienia
Kraus L.

03/03/04.



Nasz krajan, profesor dr hab. Kazimierz Lutomski, obchodził w ubiegłym roku 50 - lecie działalności naukowej. Jest profesorem zwyczajnym Instytutu Chemicznej Technologii Drewna Akademii Rolniczej im.Augusta Cieszkowskiego w Poznaniu. Autor blisko 200 publikacji naukowych. Jest pomysłodawcą i organizatorem Zakładu Ochrony i Konserwacji Drewna. Kierował pracami dyplomowymi licznego grona absolwentów Wydziału Technologii Drewna. Pełnił i pełni nadal liczne funkcje organizacyjne w uczelni i poza nią. Jest m. in. członkiem honorowym Komitetu Technologii Drewna PAN, członkiem Państwowej Komisji Normalizacyjnej ds. ochrony drewna i materiałów drewnopochodnych oraz Międzynarodowej Akademii Drzewnictwa (International Academy of Wood Science - IAWS).

SENTYMENT DO ZBĄSZYNIA

- Jest Pan zbąszynianinem...

- Tak, zgadza się. Urodziłem się 31 stycznia 1929 roku w moim domu w Zbąszyniu. Mój dziadek, Władysław, tutaj się wychowywał. Był właścicielem warsztatu szewskiego. Jego zakład mieścił się niedaleko mostu na Obrze, na dzisiejszej ulicy Senatorskiej. Kiedy zaprzestał pracy w zawodzie, osiedlił się w Przyprostyni. Kupił dom na ulicy Prandoty 1 i parał się gospodarką rolną. Często odwiedzaliśmy dziadka. Podczas żniw zjeżdżała się do niego prawie cała rodzina. Drugi dziadek, Andrzej Chudzicki, ojciec mojej mamy Jadwigi, prowadził w Babimoście własną firmę. Był powstańcem wielkopolskim. Walczył o niepodległość kraju w okolicach Babimostu i Chobienic. Po tym, jak Babimost znalazł się po stronie niemieckiej, został zmuszony przez Niemców do opuszczenia swego miasta. Przeniósł się do Zbąszynia. Mój ojciec, Stanisław, był przed wojną maszynistą kolejowym. Moja rodzina mieszkała w Zbąszyniu do 1939 roku, potem również i nas wysiedlono. Od tego momentu zaczęła się nasza wojenna tułaczka. Do Zbąszynia powróciliśmy dopiero w roku 1945.



Na zdjęciu Kazimierz Lutomski z żoną Eugenią.

- Jak rozwijała się Pańska kariera zawodowa?

- Edukację, wraz z bratem Zygmuntem, rozpocząłem w Zbąszyniu. Przez trzy lata uczęszczałem do Szkoły Powszechnej. Początkowo uczyliśmy się w szkole na dzisiejszej ulicy Powstańców Wlkp., a później przeniesiono nas do szkoły na Przedmieściu, do „szkółki", na obecnej ulicy Poznańskiej. Moją nauczycielką była Maria Śmidoda, zwana przez nas „Śmidodzianką". Pierwsze lata szkoły średniej kończyliśmy, podczas okupacji, w Generalnej Guberni. Ukończyłem liceum w Wolsztynie. Podjąłem naukę na Uniwersytecie Poznańskim, na Wydziale Leśnym. Na bazie UP w 1951 roku utworzono samodzielną uczelnię - Wyższą Szkołę Rolniczą, w skład której wszedł m. in. Oddział Technologii Drewna. Ukończyłem specjalizację na tym oddziale. W 1954 roku oddział uzyskał uprawnienia samodzielnego wydziału. Studia zakończyłem w roku 1953. W kwietniu tego roku zostałem zatrudniony w Katedrze Chemicznej Technologii Drewna WSR jako asystent. Pracę doktorską wykonałem pod kierunkiem dr Stanisława Prosińskiego w 1963 roku. Po jej ukończeniu zająłem się porządkowaniem i systematyzowaniem materiałów związanych z tematyką ochrony i konserwacji drewna. Na Wydziale Technologii Drewna (WTD) istniał wówczas cały szereg przedmiotów. Funkcjonowały różne katedry. Jednak odrębnego przedmiotu obejmującego zagadnienia ochrony i konserwacji drewna nie było, wiedza ta była „rozproszona" na różnych zajęciach. Zorganizowałem na WTD specjalistyczną Pracownię Konserwacji Drewna, która obecnie, w randze Zakładu Ochrony i Konserwacji Drewna, funkcjonuje w Instytucie Chemicznej Technologii Drewna. Doprowadziłem do powstania odrębnego przedmiotu, ochrony i konserwacji drewna. Stopień doktora habilitowanego nauk technicznych uzyskałem w 1976 roku. W 1987 roku otrzymałem tytuł profesora nadzwyczajnego nauk technicznych, a w roku 1993 powołany zostałem przez Ministra Edukacji Narodowej na stanowisko profesora zwyczajnego w Instytucie Chemicznej Technologii Drewna. Natomiast mój brat Zygmunt ukończył architekturę. Przez całe swoje życie trudnił się projektowaniem. Niestety w 2002 roku zmarł. Pomimo nieuleczalnej choroby, do ostatnich swoich dni usiłował normalnie żyć i pracować.

- Dowiedziałem się, że Pana brat był świetnym architektem. Czy mógłby Pan przybliżyć jego sylwetkę?

- Zygmunt urodził się w Zbąszyniu w 1927 roku, maturę zdał w Świebodzinie, w 1949 roku rozpoczął studia na Wydziale Architektury Szkoły Inżynierskiej w Poznaniu. Jednak dyplom mgr inż. architekta bronił na Politechnice Wrocławskiej. Od 1952 roku pracował w Miastoprojekcie. Był tam kierownikiem zespołu projektowego. W 1991 roku został współwłaścicielem firmy projektowej Arcus. Wcześniej, przez 12 lat był też nauczycielem akademickim na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Poznańskiej. Zaprojektował wiele fabryk, budynków i osiedli mieszkaniowych. Jego dziełem jest m.in. zespół wieżowców przy ul. Piekary w Poznaniu, Ośrodek Nauki PAN, fabryka MAN-a w Sadach, fabryka czekolady Stollwerck w Tarnowie Podgórnym, Hotel Górski w bułgarskim Borowcu, a także terminale spedycyjne. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Odznaką I stopnia Stowarzyszenia Architektów Polskich.

- Co spowodowało, że zainteresował się Pan ochroną i konserwacją drewna?

- Moja droga zawodowa związana jest z zainteresowaniami, a ściślej mówiąc, z żeglarstwem. Przygodę z żeglarstwem rozpocząłem w drużynie harcerskiej, utworzonej w 1945 roku, która następnie została przeorganizowana w drużynę żeglarską. Wraz z kolegami inicjowaliśmy i rozwijaliśmy żeglarstwo w Zbąszyniu. Z tego okresu pamiętam Jana Domagałę, długoletniego kierownika zbąszyńskiego kina czy Henryka Sobańskiego. Łodzie, na których wtedy pływaliśmy, zdobywaliśmy wszystkimi możliwymi sposobami. Kiedy założyliśmy klub żeglarski, okazało się, że łódki przejęte po wojnie, nowo zakupione jak i te „zdobyczne" nie starczą dla wszystkich chętnych, gdyż wiele osób wykazywało zainteresowanie żeglarstwem. Stwierdziliśmy, że trzeba zrobić nowe. W latach 1950-52, wraz z kolegami, zbudowaliśmy

dokończenie na str. 10

dokończenie ze str. 9

SENTYMENT DO...

6 łódek klasy „Słonka" z drewna sosnowego. W tartaku w Chrośnicy kupiliśmy tarcicę. Obróbkę związaną z przerobem drewna wykonywaliśmy sami, od początku do końca. Pamiętam, że jedną łódkę zbudowałem ja, drugą mój brat. Po odpowiedniej obróbce „Słonki" należało odpowiednio zabezpieczyć. Zająłem się konserwacją tych łódek. Moja pływa do dzisiaj. Spodobało mi się to zajęcie. Zacząłem zdobywać wiedzę na ten temat. I tak właśnie kontakt z drewnem, z którego budowaliśmy łódki, wywarł chyba największy wpływ na dalsze moje losy.

- Nie myślał Pan, aby pozostać po studiach w Zbąszyniu?

- Tuż po wojnie studia możliwe były praktycznie tylko w Poznaniu. Gdy kończyłem pisanie mojej pracy magisterskiej, ówczesny kierownik katedry zaproponował mi zatrudnienie w charakterze asystenta. Dostałem skierowanie do pracy na uczelni. Przez pierwszych pięć lat dojeżdżałem do Poznania pociągiem, do roku 1958. W tym czasie mieszkałem z rodzicami na ulicy 17 Stycznia 84, na rogu ulicy Jeziornej. Wtedy też dowiedziałem się, że możliwe będzie otrzymanie, w niedługim czasie, mieszkania w Poznaniu. Była to wówczas dla mnie bardzo kusząca perspektywa. Zagłębiając się w tematykę związaną z ochroną drewna, coraz bardziej się nią interesowałem, „wciągała" mnie ta dziedzina nauki. Po obronie pracy doktorskiej dostałem mieszkanie. I tak już w Poznaniu zostałem. W Zbąszyniu nie było wówczas możliwości zatrudnienia na takim stanowisku, na którym mógłbym wykorzystać zdobyte wykształcenie.

- Mieszkał Pan na rogu ulicy Jeziornej, pewnie niedaleko kościoła ewangelickiego?

- Kościół ewangelicki pamiętam bardzo dobrze, mieszkaliśmy za płotem. Nasz dom i ogród przylegał do terenu kościoła. To była ciekawa budowla. Niestety w czasie wyzwalania Zbąszynia pocisk trafił w kopułę, wybijając dziurę w stalowym poszyciu dachu. Pod stalowej konstrukcji kopułą znajdował się zaokrąglony wypukły strop. Woda przedostająca się na niego, przez nieszczelny dach, spowodowała naruszenie jego konstrukcji. Po pewnym czasie strop runął. Następowała stopniowa degradacja kościoła, która w efekcie zakończyła się jego rozbiórką. W kościele znajdowały się piękne organy. Wdzierałem się z kolegami przez małe okienko do wnętrza kościoła i grałem na nich. Wieże obu zbąszyńskich kościołów stanowiły wówczas nieodłączny element naszego lokalnego krajobrazu. Najbardziej majestatycznie i okazale prezentowały się od strony Nowego Tomyśla. Po śmierci ojca mama przez pewien czas mieszkała na 17 Stycznia, potem przeniosła się do brata. Dom sprzedała.

- Odwiedza Pan Zbąszyń?

- W Zbąszyniu bywam dość często, co najmniej kilka razy w roku. Niestety spora ilość zajęć na uczelni, pomimo że jestem na emeryturze, nie pozwala mi przyjeżdżać częściej. Goszczę w Zbąszyniu również dlatego, że moja małżonka, Eugenia Lutomska, z domu Gołembiewska, także pochodzi ze Zbąszynia. Jej siostrzenica, Lucyna Rybicka, jest nauczycielką w Zbąszyniu. Kiedy jestem w Zbąszyniu, w okresie letnim, bardzo lubię przebywać w okolicy przystani żeglarskiej w Dąbkach. To właśnie sentyment do tego miejsca „ciągnie" mnie najbardziej do moich rodzinnych stron. Spędzałem tam bardzo dużo czasu, praktycznie każdą wolną chwilę. Zawsze gdy miałem trochę czasu, wsiadałem na rower i pędziłem nad jezioro. W okresie jesienno-zimowym remontowałem tam łodzie.

Teraz lubię tam posiedzieć, popatrzeć na jezioro, na pływające żaglówki. Nad jeziorem spotykam się również ze znajomymi. Często wspominam lata młodości z kolegami z tamtych czasów: ze Zbyszkiem Zimnym, Frankiem Fleiszerowiczem, Władysławem Górnym - kierownikiem klubu żeglarskiego. Zdarza się, że również z Egonem Kleinem, który teraz mieszka w Berlinie. Jestem z nim w stałym kontakcie. Dużo razem pływaliśmy, razem jeździliśmy na obozy, szkolenia żeglarskie. Niestety wyjechał z Polski, pośrednio za sprawą swojej mamy, która była właścicielką zakładów odzieżowych w Zbąszyniu. Po upaństwowieniu zakładów, za znikome odszkodowanie, sytuacja polityczna w kraju zmusiła ich do wyjazdu.

- Co teraz podoba się Panu w Zbąszyniu?

- Zbąszyń jest interesującym miejscem. Ma bogatą historię. Jest miastem z duszą, do którego chętnie wracam. W Zbąszyniu jest i park, jest jezioro. Brak tutaj monotonnej zabudowy typowej dla młodych miast. W ciągu ostatnich kilkunastu lat Zbąszyń bardzo się rozwinął. Jest ładnym i czystym miastem. Ostatnio byłem w Zbąszyniu w czasie świąt Bożego Narodzenia. Bardzo podobały mi się dekoracje świąteczne w przydomowych ogródkach, przy posesjach, te „uliczne" również. W 2001 roku bardzo ucieszyłem się z zaproszenia na jubileusz Kazimierza Olejniczaka. Utrzymywałem z nim bardzo dobre stosunki. Ja również interesowałem się fotografią, taką bardziej amatorską. Pan Kazimierz pomagał mi rozwijać moją pasję. Wywoływał mi często filmy, robił odbitki. Nigdy niczego nie odmówił. Zawsze mogłem liczyć na jego fachową pomoc i radę. Na wystawie zaskoczyła mnie ilość posiadanych przez pana Kazimierza fotografii historycznych oraz przeogromne zbiory zdjęć przedstawiających architekturę. Mocno zaciekawiły mnie fotosy strojów ludowych.

- Ma Pan jednego syna. Czy poszedł w ślady ojca?

- Nie. Mój syn, Zbigniew, jest elektronikiem. Obecnie prowadzi własną firmę. Zajmuje się produkcją zestawów komputerowych pod zamówienie, kompleksową obsługą sieci LAN, a także tworzy strony WWW.

- Czy ma Pan czas na emeryturze na rozwijanie swoich zainteresowań, jakichś hobby?

- Ciągle jeszcze wykładam, udzielam konsultacji dla doktoranów, piszę recenzje, artykuły. Człowiek musi się czymś zajmować, żeby nie „skapcanieć". Na czynne uprawianie sportu, niestety, zdrowie już nie pozwala. Kiedyś, oprócz częstego żeglowania, jeździłem na nartach.

TOMASZ SZCZEPANIAK

ZBĄSZYNIANIN LUTY 1998

Pod żaglami

Latem ubiegłego roku przebywał w Zbąszyniu **Zbigniew Kusznierewicz**, ojciec mistrza olimpijskiego zAtlanty - **Mateusza.** Była okazja do rozmowy, której nie przepuściliśmy. Prezentujemy ją właśnie teraz.

- Od kiedy pan uprawia żeglarstwo

- Sport żeglarski lubię od dziecka, jestem z nim związany od końca lat pięćdziesiątych. Mieszkaliśmy wówczas w okolicach Giżycka, było tam dużo wody. Miałem 9 lat. Zaczynałem od szkółki żeglarskiej. Pod okiem instruktorów uczyliśmy się sztuki żeglowania. Początkowo pływaliśmy na BMK-ch, w miarę zdobytej wiedzy i umiejętności na cadetach, OK-dinghach i finach. Będąc tyle lat związany z wodą nie myślę skończyć z żeglowaniem.

- Czy uprawianie żeglarstwa jest rodzinne?

- Moi rodzice mieli wprawdzie styczność z wodą lecz do czynnego uprawiania sportów wodnych jakoś ich nie ciągnęło. Ja wychowałem się nad wodą, często chodziłem z rodzicami się kąpać, widziałem jak inni pływają na łodziach, kajakach, żaglówkach. Zazdrościłem im. Postanowiłem, że muszę pływać i pływam do dziś. W rodzinie od trzech pokoleń jest uprawiane żeglarstwo, ale turystycznie. Zawodowo z żeglarstwem związał się tylko syn Mateusz.

- Czym jest dla pana uprawianie żeglarstwa?

- Wynik osiągnięty na zawodach zawsze się liczy. Osiągnięciem jest również zmaganie się z wiatrem, z wysoką falą. Liczą się spotkania z młodym pokoleniem żeglarzy, z działaczami, z przedstawicielami Polskiego Związku Żeglarskiego.

- Co robi pan poza pływaniem?

- Jestem trenerem w Yacht Klubie Warszawa. Mam pod opieką kilku zawodników.

- Jakie cechy powinien posiadać dobry żeglarz?

- Żeglarzem nikt się nie rodzi. Do takich czy innych wyników dochodzi się usilną pracą. Żeglarz, a raczej kandydat na żeglarza, oprócz zdrowia musi być w pełni sprawny fizycznie, nie bać się wody, musi być przewidującym różne sytuacje, wytrwały, nie rezygnować z walki o zwycięstwo. Z drugiej strony musi być koleżeński i tam gdzie potrzeba udzielać pomocy swym przeciwnikom. Do dobrych wyników można dojść poprzez wieloletni trening, starty w zawodach, wyrzekając się czasem przyjemności. Zadowolenie jest wtedy, gdy stanie się na podium, otrzyma się dyplom czy medal. Młodzież zbąszyńska ma ku temu idealne warunki, jezioro Błędno powinno być w pełni wykorzystane. Zbąszyński Klub Żeglarski powinien do siebie przygarnąć wszystkich chętnych do uprawiania sportów wodnych. Ja ze swej strony będę starał się pomagać Zbąszyniowi. Jestem przekonany, że po tych Mistrzostwach Polski Zbąszyń, a szczególnie Zbąszyński Klub Żeglarski, będzie się liczył w kraju.

- Czy jezioro Błędno odpowiada warunkom imprez żeglarskich rangi Mistrzostw Polski?

- W Zbąszyniu jestem pierwszy raz. Znałem to miasto raczej od strony folkloru. Błędno jest pięknym akwenem i ma wszelkie walory by tu organizować imprezy żeglarskie rangi ogólnopolskiej, a nawet międzynarodowej. Jest duża przestrzeń do pływania, linia brzegowa korzystna do obserwowania zmagań, wieją tu częste, choć nie zawsze korzystne wiatry. Takich jezior w Polsce jest niewiele. Zazwyczaj ścigamy się w Pucku. Myślę, że tu będziemy rozgrywać niektóre zawody żeglarskie liczące się w punktacji klubowej.

- Był pan na wielu imprezach, jak pan ocenia organizację tej w Zbąszyniu?

- Mistrzostwa Polski w klasie OK Dinghy w Zbąszyniu były bardzo dobrze zorganizowane pod wieloma względami. Ekipy poszczególnych klubów chwaliły sobie zakwaterowanie, wyżywienie. Było zabezpieczenie zawodników, dobrze wywiązała się ze swych obowiązków komisja sędziowska, było duże zaangażowanie miejscowych działaczy, czego często brak w dużych środowiskach. Mogę stwierdzić, że Zbąszyń zdobył dalsze pozytywne doświadczenie w organizacji imprez tej rangi.

- Jak panu podoba się miasto?

- W Zbąszyniu jestem po raz pierwszy i to krótko. Przyjechałem w zasadzie na Mistrzostwa Polski. Cały czas byliśmy na wodzie. Nie było okazji zwiedzić miasta, o którym nieco słyszałem. Jeśli stwierdzę, że jezioro jest bardzo piękne to pewnie i miasto można tym przymiotnikiem określić. Może przy następnej bytności będzie więcej czasu na zwiedzanie miasta. Uczynię to bardzo chętnie.

- Od naszego pisma proszę przekazać synowi Mateuszowi najlepsze życzenia, aby jak najdłużej rozsławiał imię polskiego żeglarza na arenie międzynarodowej.

Rozmawiał:

JAN JANOWSKI

ZBĄSZYNIANIN LIPIEC 2004



WSPOMNIENIA...

Szanowna Redakcjo! Piszę do Was jako była mieszkanka Zbąszynia, by przede wszystkim podziękować Wam za wspaniałą działalność. Urodziłam się w Zbąszyniu i tutaj mieszkałam do końca 1984 roku. Byłam jedną z trzech pierwszych żeglarek, które zdobyły stopień żeglarza w Zbąszyńskim Klubie Żeglarskim. Miałam wtedy 15 lat. W klubie poznałam też swego przyszłego męża - Edwarda Górnego. Żeglowanie stało się nieodłączną częścią naszego życia rodzinnego.

Za Waszym pośrednictwem chciałabym przekazać serdeczne życzenia całej „żeglarskiej braci", której dedykuję, napisany w dniu moich 18 urodzin, wiersz.

Janina Braun - Górna
wraz z synami - Karolem i Marcinem
RODENBACH
NIEMCY

Tu gdzie Obra z Błędnem łączy wody swe,
gdzie łabędzie stada bielą się,
gdzie przyjaźnie wita starej baszty próg,
leży moje miasto, historyczny gród.

Tu jeziora tafla srebrem lśni,
tu przebywam od dziecięcych dni,
stąd marzenia moje biegną w świata dal
lecz opuścić miasto i jezioro żal.

Tutaj żagle mocą swą napina wiatr,
tu po grzbietach fali łódź wysmukła gna
a gdy wśród trzcin szmeru znów zapada zmierzch,
słychać hen w oddali tęskny szantów śpiew.

Tutaj serce moje ma kotwice swą,
tu przyświeca słońce mym młodzieńczym dniom,
tu powierzam nocy swoje tajemnice,
tutaj żabi rechot budzi mnie o świcie.

Tu poznałam miłość, która bywa raz,
tu poznałam przyjaźń, której nie zabija czas,
tu błogosławieństwo dali mi rodzice,
kiedy wyruszałam po przygodę z życiem.

A jeżeli los mój tego chce
i w dalekie świata strony rzuci mnie,
czy z rozległych dolin, czy też z górskich hal,
serce me bić będzie pluskiem Błędna fal.

Janina Braun
(1962 r.)

Janina Braun-Górna
członek Zbąszyńskiego Klubu Żeglarskiego,
autorka I wykonawczyni drugiej wersji
"Błękitnej Wstęgi Jeziora Błędno",
która była nagrodą przechodnią do 1987 r.

Rejs wspomnień
12 sierpień 2000 r.





Od prawej:
Stanisław Olejniczak,
Dionizy Napieralski,
Egon Klein,
Henryk Sobański,
Franciszek Andrys,
Tadeusz Sobecki,
Zbigniew Zimny

"Za tych co na morzu..."



Zakończenie Rejsu przy ognisku z kiełbaską.
Wspomnieniami z Rejsu na canoe
ze Zbąszynia do Gdańska dzieli się
Komandor ZKŻ: Bogdan Gołek

Żeglarskie spotkania po bardzo wielu latach.



Od lewej:
Tadeusz Sobecki,
Marian Młodystach,
Maria Grandke,
Henryk Sobański
widoczne ramię to
Henryk Białecki



Od lewej:
Władysław Górny,
Zbigniew Zimny,
Franciszek Andrys,
Maryla Klein,
Elżbieta Sarbok,
Egon Klein,
Maryla Zimna



Od lewej:
Henryk Sobański,
Tadeusz Grandke,
Władysław Górny,
Edmund Małycha,
Marian Młodystach,
Tadeusz Sobecki,
Jan Smerda,
Wiktor Trocholepszy

Zdjęcia: 12.08.2000 r. wykonał Egon Klein, Zbigniew Zimny

Zaproszenie do Zbąszynia

Znakomite środowisko żeglarskie skupione w Zbąszyńskim Klubie Żeglarskim obchodziło w roku 1995 sześćdziesiąte piąte urodziny swojego klubu. Z tej okazji mili nasi Czytelnicy zapragnęli, abym w Żaglach napisał w cyklu Polskich Szlaków Żeglarskich także o Zbąszyńskim Szlaku, jedynym w województwie zielonogórskim turystycznym szlaku żeglarskim.

Przerwałem więc żeglugę po Jezioraku i jazda do Zbąszyna. Nie sposób było się bowiem oprzeć miłemu zaproszeniu. Tym bardziej, że zależy im bardzo, aby żeglarska Polska dowiedziała się o klubie spod znaku łabędzia, ten bowiem ptak na czerwonym polu – herb miasta – zdobi błękitny proporzec klubu. Pod tym proporcem żeglowałem przez cały sezon '95.

Najpierw trochę geografii

Szlak Obry, na którym leży Zbąszyń, zaliczany jest do szlaków wodnych Wielkopolski, choć po reformie administracji w 1974 roku znalazł się na Ziemi Lubuskiej w województwie zielonogórskim.

Pod względem fizjograficznym dorzecze Obry należy do Niziny Wielkopolsko-Kujawskiej pomiędzy Pradoliną Toruńsko-Eberswaldzką na północy (wzdłuż Wisły od Torunia, skanalizowanego odcinka Brdy, Kanału Bydgoskiego i Noteci, Wartą od Odry) i Wałem Trzebnickim Kocimi Górami (od Ostrzeszowa przez Trzebnicę do Ścinawy). Nizina ta składa się z trzech zasadniczych części: Wielkopolski, Kujaw i Ziemi Lubuskiej. Rzeźbę terenu wymodelował tu głównie lądolód, który nasunął się od północy. Topniejąc i cofając się pozostawił za sobą różne formy terenu kształtowane z glin, sandrów i granitu przywleczonego w formie głazów narzutowych. Te formy to wyniesienia moren czołowych, bezmiste doliny moreny dennej, pradoliny ciągnące się przede wszystkim równoleżnikowo, doliny przełomowe, rynny, wąskie wały ozów i wytopiskowe oczka i kociołki. A wszystko to zarazem pomieszane stanowi o malowniczym pięknie wielu okolic Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej. Nic też dziwnego, że i wody powierzchniowe cechują się wielkim bogactwem form. Dominują rzeki z główną rzeką Wartą z prawobrzeżnymi dopływami Nerem, Wełną. Notecią i lewobrzeżnymi Prosną i Obrą. Poza naturalnymi ciekami występują również liczne wytwory działalności człowieka w postaci kanałów komunikacyjnych, rzek skanalizowanych (Noteć), kanałów melioracyjnych (cały wielki system międzyrzecza Warty i Odry) i rowów.

Rzeki i rzeczki Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej płyną w dwu zasadniczych kierunkach: równoleżnikowym, ukształtowanym przez czoło lodowca zagradzającego wodzie drogę na północ i południkowym, kiedy po wytopieniu się lodowca woda mogła bez przeszkód płynąć na północ. W taki więc sposób powstała tutejsza sieć wód powierzchniowych, naturalnych i ukształtowanych ludzką ręką. Wymarzony wprost teren dla penetracji turystycznej na kajakach, kanadyjkach i małych, lekkich żaglówkach z pomocniczym napędem wiosłowym.

Jezior na Nizinie Wielkopolskiej naliczyli skrupulatni hydrografowie 30 tysięcy! Rynnowych, dennomorenowych, śródwydmowych, starorzeczy oczek i kociołków. Największe z nich, to – zrośnięte z tradycją narodową – Jezioro Lednickie, Biskupińskie i Gopło; poza tym: Sławskie, Niesłysz, Łagowskie i Lubniewickie. Do tego należy dorzucić najmłodsze, zaporowe na Warcie Jeziorsko. Choć dobre do uprawiania sportów wodnych i szkolenia żeglarskiego, to dla turystyki wodnej na turystycznym jachcie kabinowym nadaje się jedynie Gopło jako ważny fragment szlaku Pętli Wielkopolskiej, najwspanialsze jezioro regionu.

Zbąszyński Szlak należy do jednej z licznych dróg turystyki wodnej rozgałęzionej sieci międzyrzecza Odry i Warty: Obry, jej ramion i kanałów obrzańskich. Jest to odcinek Kopanica – Skwierzyna (ujście do Warty), liczący 148 kilometrów. Obra na tej trasie przepływa przez 12 jezior. W tym sam Zbąszyński Szlak jest łańcuchem 7 jezior połączonych krótkimi przesmykami Obry płynącej niesłychanie leniwie: prąd jest niezauważalny; na tych 20 kilometrach spadek wynosi zaledwie 100 cm, 0,05%! Zbąszyński Szlak jest więc łańcuchem siedmiu jezior, wybitnie malowniczych, obrzeżonych lasami – idealnych dla wypoczynku i regeneracji sił w przyjaznym środowisku bujnej przyrody. Otwiera ten łańcuch Zacisze, następne to Jez. Kopanickie. Jez. Wielkowiejskie, Jez. Chobienickie, Jez. Grójeckie, Jez. Nowowiejskie, a zamyka największe Błędno.

Wszystkich mających w sobie żyłkę eksploracji turystyczno-krajoznawczej zachęcam serdecznie do spakowania grat6w, załadowania łodzi na wózek i przyjechania do Zbąszynia, do gościnnej przystani Zbąszyńskiego Klubu Żeglarskiego, i spędzenia urlopu na Zbąszyńskim Szlaku. Kolegów zaś ścigantów-regatowców zapraszam na liczne imprezy sportowe organizowane przez ZKŻ, tel. 80, ul. Łąkowa 64-360. Są to: Otwarcie Sezonu, Regaty z Okazji Dni Zbąszynia, Mistrzostwa Okręgu Cadet, 420, OK. Regaty z okazji Dni Morza, Regaty Australijskie, Regaty Samotników, Regaty Sponsorów, V Regaty o Srebrną Szeklę Zbąszynia i zarazem II Mistrzostwa Okręgu Turystycznych Jachtów Kabinowych, Błękitna Wstęga Jeziora Zbąszyńskiego.



Zbąszyński szlak (1)



1. Prezes (z lewej) i kierownik przystani prezentują proporce klubowe.



2. Przystań ZKŻ.

Z Dziennika podróży „Orbity"

28. kwietnia 1955

Wyjazd rano do Poznania. Tu godzina czekania na pośpieszny do Zielonej Góry i w Zbąszyniu jesteśmy o 12 z minutami. Doskonała jazda. Szybciej niz samochodem. Czekali na nas (jestem z żoną) zbąszyńscy działacze żeglarscy, przemili koledzy Zbigniaw Zimny i Grzegorz Żołnierkiewicz. Zawieźli nas na przystań nad jeziorem Błędno. Po krótkiej odsapce wyruszyliśmy na miasto, do restauracji „Podzamcze" na obiad. Lokal ten mieści się w dawnych pałacowych gotyckich stajniach zbudowanych z pięknej czerwonej cegły. Tu widać, że jest to ulubiony lokal zbąszyńskich żeglarzy, jako że na bufecie pyszni się „Srebrna Szekla", bagatela, 20 kg posrebrzanych stali. Jest to wazne trofeum przechodnie za zwycięstwo w regatach – w 1995 już czwarte! –, O Srebrną Szeklę Zbąszynia", będących również od 1995 roku Mistrzostwami Zielonogórskiego Okręgu Żeglarskiego Turystycznych Jachtów Kabinowych. A na ścianie sali znajduje się absolutna rzadkość: kolekcja karbidowych latarek rowerowych! Umieszcza je tutaj ich zbieracz, klubowy kolega Marian Kwaśny „Piniu". Ale „Podzamcze" to przede wszystkim jedzenie, i to jakie. Perłą w koronie tutejszego jadłospisu jest zupełnie bestialski kotlet „Podzamcze", nadzwyczajnej smaczności ale za to z ananasami.

Po obiedzie miła przechadzka z gospodarzami. Zbąszyń to czyste i ładne miasteczko prześlicznie położone w zakolu Obry (najstarszy fragment z rynkiem i założeniem pałacowo-zamkowym) i nad wielką taflą Błędna.

A wieczorem wesołą żeglarską biesiadą powitali nas na przystani zbąszyńscy koledzy, a wśród nich prezes klubu Wojciech Sarbok, kierowik przystani Władek Górny i szef Ośrodka Sportu i Rekreacji Piotr Skrzypczak. Okazało się, że klub ma swoich przyjaciół i w dalszych stronach Polski, z Wrocławia przyjechał Bronek Bilewicz „Hrabia" z synem i Żenek Kołodziejczyk, wprawdzie obywatel niemiecki, ale tutejszy rodak i trzykrotny zdobywca Srebrnej Szekli.

29. kwietnia 1995

Pływanie po Błędnie DAMĄ PIKOWĄ, klubową łódką konstrukcji i roboty Władzia Górnego: takie rozwinięcie Rai, bardziej pakowne. Łódka leciwa, dochodzi dwudziestki. Dobrze jednak utrzymana i sympatyczna w żegludze. A cóż to za pyszne jezioro, to Błędno!

30. kwietnia 1995

Niedziela. Od godziny 10 jesteśmy gośćmi na sprawozdawczym zebraniu Zbąszyńskiego Klubu Żeglarskiego. Bardzo mi się obrady podobały. Dyskusja mądra i kompetentna. Klub jest na budżecie miasta. Nie płaci więc podatków, za światło, wodę. Wielkie brawa dla zbąszyńskich radnych! ZKŻ mieści się w strukturach zbąszyńskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Jego szefem jest Piotr Skrzypczak, zaś jego biuro mieści się obok biura Władka Górnego. Ta więź miasta ze swoim klubem wynika z mądrej troski nie tylko o zapewnienie rozrywki dorosłym obywatelom, ale także wychowanie młodzieży, która w klubie uczy się żeglarstwa od Optymistów począwszy na Dezecie skończywszy. Tę ostatnią śliczną białą łódź zakupił w 1994 roku burmistrz mgr inż. Romuald Szczepaniak. Opiekę nad łodzią sprawują harcerze z Drużyny „Tratwa" ze Zbąszynka. Na wieść o moim przyjeździe do Zbąszynia przyjechali z szefem Marianem Mazurkiem. Poznaliśmy się bowiem z nimi na Zlocie Harcerskich Drużyn Wodnych w Węgorzewie.

Podszedł do nas i przedstawił się sympatyczny pan Zdzisław Litwinowicz i zaproponował, że pociągnie nas na holu za swoją łodzią JOANNĄ, która tańczyła już pod żaglami, czekając na nas. Odeszliśmy od kei, podałem hol. Przeszliśmy na JOANNĘ, a na DAMĘ PIKOWĄ weszli dwaj chłopcy: syn armatora i syn załoganta, przyjaciela pana Zdzisława. Na JOANNIE przywitała nas Monika, córka pana Litwinowicza z Nowego Tomyśla. Uroczy to był rejs aż do Kopanicy, gdzie Obra przegrodzona jest jazem z betonowymi przyczółkami i dwoma filarami w wodzie; po przyczółkach i filarach prowadzi stalowa kładka z poręczą. Trzy zasuwy służę do zamykania nurtu. Środkowa była otwarta, jej dolna krawędź podniesiona była 10 cm nad lustrem wody. Gdyby operator jazu podniósł zasuwę choć na metr, toby mogły przepływać tędy choćby kajaki, i nie trzeba męczyć się z ich przenoszeniem dookoła przyczółków.

Od tego właśnie jazu w Kopanicy zaczęliśmy już systematyczną penetrację szlaku. Tu można zanocować i spróbować złowić jakąś rybkę na wędkę. To szlak dość rybny, chociaż woda tu nie należy do najczystszych. Szybko jednak oczyszcza się i już w następnych jeziorach zachęca do kąpieli.

Informacja

Poczta – ul. Senatorska 36, tel. 154
Miejski Ośrodek Zdrowia – ul. 17 Stycznia 1920 roku tel. 43
Apteki: ul. Senatorska 27 tel. 286, Rynek 4 tel. 30, ul. 17 stycznia 1920 roku i na terenie MOZ
Policja ul. 17 Stycznia tel. 7
PTTK ul. Garczyńskich 6 tel. 356
Muzeum Regionalne ul. Garczyńskich 5a
Podstacja Pomocy Doraźnej ul. 17 Stycznia 1920 roku nr 59, tel. 43 (w siedzibie MOZ)
Baza noclegowa: łącznie 240 miejsc (115 w hotelach i 125 na campingach), 3 pola namiotowe
CPN ul. Przedmieście św. Wojciecha i przy szosie do Nowego Tomyśla
Zakład Usług Mechaniki Pojazdowej ul. Senatorska 24 tel. 344
Zabytki: późnobarokowy kościół parafialny p.w. Wniebowzięcia N.M. Marii z II poł. XVIII w., renesansowa brama wjazdowa dawnej twierdzy z pocz. XVII w., park rezydencjalny w obrębie twierdzy, drewniany kościół cmentarny p.w. św. Mikołaja i domy mieszkalne XVIII/XIX w.
UWAGA! NA CAŁYM SZLAKU OBOWIĄZUJE ZAKAZ UPRAWIANIA SPORTÓW MOTOROWODNYCH.

Kopanica

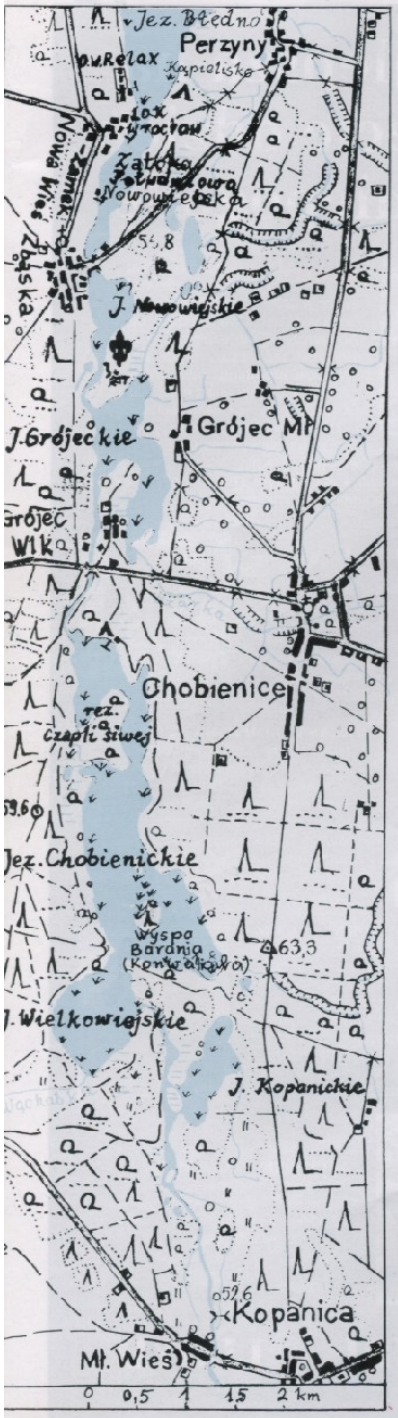
Raniutko wybierzmy się do Kopanicy – w średniowieczu był to gród obronny na pograniczu Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej. Niestety nie dochował się do naszych czasów pierwotny kościół. Na jego miejsce w 1855 wzniesiono obecny kościół parafialny, wart na pewno obejrzenia. W XX wieku najważniejszym dla Kopanicy wydarzeniem był liczny udział mieszkańców wsi w zrywie niepodległościowym Wielkopolskim. Dzięki temu wieś wywalczyła sobie byt w granicach Polski zatwierdzonych Traktatem Wersalskim. Piękne jest położenie Kopanicy i jej okolic. Wspaniałe lasy sąsiadują bezpośrednio z wsią i ciągną się wzdłuż Bruzdy Zbąszyńskiej, które tu właśnie się zaczyna.

Kopanica należy do gminy Siedlec, dużej wsi odległej stąd o kilka kilometrów w stronę Wolsztyna. Pocztę, tak jak parafię, ma własną. Komunikacja jest bardzo dobra, szosą i pociągiem na szlaku Wolsztyn – Sulechów, skąd zaraz przez Odrę do Zielonej Góry, a do Zbąszynia prosto na północ przez lasy, 18 km.

Jeśli stąd zamierza się zacząć spływ kajakowy, koło mostu drogowego na Obrze jest wygodne miejsce do zwodowania. Zwodowanie łodzi natomiast jest tu bardzo trudne. Oprócz szlaku kajakowego prowadzi przez Kopanicę niebieski szlak pieszy do Zbąszynia.

WOJCIECH KUCZKOWSKI
Zdjęcia i mapka – autor

Wyruszamy na



Wyruszamy na szlak. Obra płynie pomaleńku, zupełnie skanalizowana, brzegi dobrze utrzymane, za niewysokimi walami dobre miejsce na biwak dla kajakowiczów. Okolica staje się coraz dziksza, zaczynają się podmokłe tereny i po 1100 metrach od jazu wchodzimy niepostrzeżenie na małe jezioro **Zacisze**, witające nas na samym początku zakrzaczoną, niedostępną wysepką. Omijamy ją raczej prawą burtą. Zacisze ciągnie się około półtora kilometra, szerokie do 100 metrów, ale w większości jest zarośnięte roślinnością wodno-bagienną, wynurzoną i zanurzoną z dużymi skupiskami grążeli i nenufarów. Duże bogactwo fauny: ryb i ptaków wodnych. Kilometr od początku jeziora, na lewym brzegu znajduje się przystań rybacka, skąd drogą przez las dwa kilometry na zachód trafiamy na wieś **Wąchabno.**

Jezioro rozszerza się. Przed nami bagnista wyspa. Za nią i przed nią dwie cieśniny, którymi można przedostać się na **Jezioro Kopanickie**, silnie zarastające, o powierzchni 80 ha, długości 1200 i szerokości 400 metrów, głębokości 2,8 m. Dno muliste. Płynąc wzdłuż linii trzcin możemy znaleźć ładne miejsce na zaciszny i spokojny postój pod lasem. Ale nawet jeżeli nie zamierzamy tu przystanąć, opłynąć to jezioro trzeba, bacznie obserwując przyrodę. Wracamy na szlak. Przez pół kilometra płyniemy szpalerem trzcin, potem leśnym, zwężającym się korytarzem. Rzadkość na tym odcinku: do lewego brzegu dochodzi niewysoka wyniosłość terenu, kilka metrów w las jest droga okrążająca bagiennoleśny cypel. Jest to również sympatyczne miejsce do przycumowania. Przez moment mamy wrażenie, że skończyła się rzeka, gdy nagle po lewej burcie spostrzegamy rozległe lustro wody. Jesteśmy na 4,4 km od Kopanicy. Wchodzimy na **Jezioro Wielkowiejskie**, kształtem przypominające półmisek z błękitnym dnem pod lustrem wody i zielonym obrzeżem lasu całkowicie porastającego brzegi. Południowa część jest otoczona mokradłami z typowo bagienną roślinnością, a do najbardziej na południe wysuniętej zatoki wpływa rzeczka Wąchabka we wsi Wąchabno, wypływająca z jeziora Wąchabskiego. Nie sprawdzałem tego przejścia, a może być interesujące! Jezioro Wielkowiejskie liczy sobie 78 ha powierzchni, jest płyciutkie – do 2,9 m, długość wynosi 1200, a szerokość 750 metrów. Do cieśniny z wypływem Obry jest 350 metrów w kierunku północnozachodnim, ale szkoda przeskakiwać obok takiego jeziora. Radzę powtórzyć manewr z Jez. Kopanickiego i opłynąć także to jezioro, a jako interesującą rozrywkę potraktować odnalezienie wśród trzcin wypływu Wąchabki i spróbować w nią wpłynąć.

Jezioro Chobienickie jest najpiękniejsze w całym ciągu Zbąszyńskiego Szlaku. Okolone z wszystkich stron lasem, na brzegach ani jednej sadyby, długości 4 km, szerokości od 500 do 700 metrów, a przy wyspie Ostrów do 150 do 200, powierzchnia 230 ha, głębokość 3,4 m; linia brzegowa urozmaicona: południowy brzeg zajmuje duży półwysep między trzema jeziorami: Chobienickim, Wielkowiejskim i Kopanickim, z północnego brzegu wychodzi w jezioro ćwierćkilometrowy cypel o podstawie szerokiej na 150 metrów. Jest też kilka zatok, z których najbardziej przydatną dla żeglarzy na „port jednej doby" jest zatoka wydzielona z jeziora wyżej wspomnianym cyplem. Trzy wyspy dodają uroku jeziorku: największa – 800 m długości i 500 szerokości – sprawia wrażenie raczej półwyspu, oddzielona od lądu rowem z wodą i pasem trzcin na bagnie. Na wyspę tę nie ma wstępu. Jest to ścisły rezerwat. Czyj, łatwo zgadnąć po wielkich gniazdach w koronach drzew i bezlistnych gałęziach. No i po gospodarzach tej kolonii, licznych czaplach latających z rybami dla swych małych. Najmniejsza, niemal niedostępna kępka wystaje pośród szuwarów kilometr od cieśniny z jeziora Wielkowiejskiego, cieśniny ograniczonej z dwóch stron miłymi cypelkami z dostępem do wody, okupowanymi przez wędkarzy. 200 metrów od cieśniny, od razu po wejściu naszej łodzi lub kajaka rzuca się w oczy wspaniały widok trzeciej wyspy: Wyspy Baraniej (Konwaliowej). 300 metrów długiej i 150 szerokiej. Zarośnięta była wysokopiennym starodrzewem sosnowym. Niestety w czasie wielkiej suszy w lecie 1993 roku wierzchołkowy pożar zniszczył korony i korę sosen. Zostały ścięte, a część wywrócił wiatr. Ale i to, co zostało, jest imponujące: sosny parasolowe na środku polany i ogromne dęby ocalały. Na wielkiej polanie można postawić znakomity biwak, suchych gałęzi na ognisku nie brakuje. Na brzegu przeważają olchy. Dużo jest krzewów: tarniny, krusyzyny, kaliny, leszczyny. Z drzew są także lipy, wiązy i graby. Okolona wokół trzciną wyspa ma dwa dobre dojścia: od wschodu i od zachodu. Jedno i drugie mniej więcej w połowie długości. Kąpiel od zachodu jest bardzo dobra, dno piaszczyste, woda na szlaku wolna od zanurzonych roślin wodnych. Można popływać, ponurkować. Dobrze jest tu zachować spokój i nie płoszyć żyjącej zwierzyny. Spośród większych mieszkają tu sarny, chętnie zaglądają dziki, znakomici pływacy. Pod korzeniami olch swoje nory mają kuny leśne i piżmaki. Ale króluje na wyspie awifauna: ptaki śpiewające ze słowikami i trzciniakami, kosy i drozdy, wilgi. Jest mnóstwo sikorek, są kowaliki. Na wielkich drzewach gniazdują duże drapieżniki. Cudownie było tu podczas naszego zwiadu na DAMIE PIKOWEJ na przełomie kwietnia

REGATY 1996

01.05	**OTWARCIE SEZONU** OPP, OK-D, KABINOWE do 6 m i od 6 m
22–23 06	**DNI ZBĄSZYNIA, DNI MORZA** OPP, C, OK-D, KABINOWE do 6 m i od 6 m
11–14.07	**REJS KLUBOWY**
27.07	**REGATY AUSTRALIJSKIE** OPP, C, OK-D, KABINOWE-OPEN
17.08	**REGATY DOOKOŁA JEZIORA** OPP, C, OK-D, KABINOWE-OPEN
12–15 09	**MISTRZOSTWA POLSKI FD** **PUCHAR SPONSORÓW** OPP, C, OK-D
21–22 09	**V REGATY O SREBRNĄ SZEKLĘ ZBĄSZYNIA** KABINOWE – OPEN **II MISTRZOSTWA OKRĘGU JACHTÓW KABINOWYCH** KABINOWE do 6 m i od 6 m **MISTRZOSTWA ZBĄSZYNIA** OPP, C, OK-D
28.09	**BŁĘKITNA WSTĘGA J. BŁĘDNO**

Obrę



Zbąszyński szlak (2)

i maja roku 1995: wiosna pysznila się białą suknią kwitnących licznych krzewów, dywanem kwiatów wszystkich kolorów na polanie i grała kapelą setek ptaków i owadów. Zachowując się cicho i nieruchomo można wypatrzeć wśród traw przesuwającego się zaskrońca, padalca albo wygrzewającą się jaszczurkę zwinkę. Nasze ukochane psy, które nam wiernie towarzyszą na łodziach, zwłaszcza ras myśliwskich, są tutaj niepożądanymi intruzami. Duży z tym kłopot.

Po odejściu od wyspy radzę opłynąć Zatokę Za Wyspą jak najbliżej trzcin i równie pomalutku, jak na poprzednich jeziorach. Wychodzimy zza trzcin okalających wyspę i zmierzamy w stronę Ostrowa, czaplińca. Bardzo to widowiskowe, takie gniazdowisko wielkich ptaków. Mijamy rezerwat czapli. Przed dziobem łodzi kusi uroczy cypelek i zatoczka, wymarzone do postoju i kąpieli na dziko, w samotności, o ile miejsca na Wyspie Baraniej (Konwaliowej) będą zajęte. Wzdłuż brzegu prowadzi leśna dróżka, idealna dla spaceru po lesie i obejrzenia jeziora z leśnej perspektywy. Przy tym samym brzegu, kilkaset metrów na północ, mamy do dyspozycji leśną przystań, pole namiotowe i źródło wody pitnej.

Po dłuższym pobycie na Jez. Chobienickim zanurzamy się w korytarz wśród leśnych ścian: mamy przed sobą interesujący odcinek Obry. Lepiej go pokonywać z położonym masztem. Tym bardziej, że za kilometr nad rzeką most szosowy na trasie **Chobienice – Babimost, 8,5 km** od jazu w Kopanicy. Niewielka wioska **Grojec Wielki** za szosą wzdłuż półwyspu oblanego z jednej strony, od zachodu, Obrą, zaś od wschodu odnogą Jeziora Grojeckiego. Do tej odnogi wpada rzeczka Szarka, nieprzydatna nawet dla turystyki kajakowej. Wypływa w okolicach Nowego Tomyśla i przez nie przepływa. Zaraz przy moście sklep spożywczy. Wieś ciągnie się wzdłuż rzeki do połowy półwyspu.

9,5 km od jazu w Kopanicy Obra wpływa do **Jeziora Grojeckiego,** kilometr od mostu. Powierzchnia jeziora wynosi 71 ha, długość 2200, zaś szerokość od 350 do 500 metrów, głębokość 6 m. Szlak prowadzi wzdłuż zachodniego brzegu, do wypływu Obry 550 m. Jezioro ma kształt urozmaicony. Połowę jego obszaru zajmuje wykrzywiona zatoka przeszło kilometrowej długości. Nad której wschodnim brzegiem leży wieś **Grojec Mały**, licząca sobie kilka domów po postawieniu masztu, na żaglach. Sympatyczny odcinek brzegu jest na północy, ładny las dochodzi do jeziora. Wchodzimy w wąską cieśninę rozszerzającą się lejkowato i to jest już następne, Jezioro Nowowiejskie, maleńkie, bo tylko 34 ha powierzchni. Taki trójkąt ostrym kątem zwrócony na południe. Oba brzegi przylegające do tego kąta są zalesione. Na wschodnim, 300 metrów od początku, zlokalizowane jest obozowisko harcerskie. Tu można poszukać źródła z wodą pitną. Jezioro długie jest na 1200 metrów, a szerokie na północy pół kilometra, głębokość 4,5 m. Nad północnowschodnim kątem rozsiadła się ładna **Nowa Wieś Zbąska**, z kościołem parafialnym. Po obu stronach, od północy i południa sąsiadująca z lasami. Ponad cieśniną, przez którą wiedzie szlak, przerzucono most drogowy z szosą do Zbąszynia przez Przyprostnię. Druga szosa do Zbąszynia prowadzi przez Nądnię. Most odległy jest od jazu w Kopienicy o 11,5 km.

Jezioro Błędno

Obie szosy obejmują jezioro Błędno, w encyklopediach i przewodnikach znane pod nazwą Jeziora Zbąszyńskiego. Jak mi mówili koledzy ze Zbąszyńskiego Klubu Żeglarskiego, nazwa Błędno od dawna już była znana. Otóż często nad tym jeziorem stała mgła gęsta jak mleko, nieraz spadała niespodziewanie. Ogarniała rybaków łowiących ryby, lepka, nieprzenikniona, głuszące wołania i odgłosy z brzegu. Tracili orientację i błądzili, dopóki nie przetarła się mgła i nie wyłonił się brzeg. I dlatego: Błędno. Ładna, niebanalna nazwa. Już u Długosza w Rocznikach, ks. I czytamy Blandno. Ale błądzić się zdarza również poważnym publikacjom. Bo: w WEP PWN czytamy, że powierzchnia Błędna wynosi 742,5 ha, a w przewodniku Owsianowskiego „Szlaki wodne Wielkopolski" 760 ha, głębokość 3,5. A znowu w Wielkiej Encyklopedii: głębokość 3,5, maks. 9,6 m. Dodane jest także, że linia brzegowa 18,5 km i położone jest na wys. 53 m n.p.m. (a na mapie 1:50 000 GUGiK 51,6) w Bruździe Zbąszyńskiej na Pojezierzu Wielkopolskim, długość wg Encyklopedii ma 7,1 km długości, co zgadza się z mapą: od przystani ZKŻ do mostu w Nowej Wsi Zbąskiej jest również tyle. Natomiast wg cytowanego przewodnika czytamy na str. 96: „13 km Nowa Wieś Zbąska, wieś, most drogowy" i poniżej: „14,5 km Nowa Wieś, most drogowy" i: „15 km wypływamy na Jezioro Zbąszyńskie". Tego mostu nie ma. Jeżeli Błędno będziemy liczyć dopiero od 15 kilometra Obry, to wówczas jego długość wyniesie 5,1 km, zaś cały uroczy odcinek należałby do Jeziora Nowowiejskiego. Osobiście byłbym skłonny uznać nowowiejską rynnę za osobne jezioro. Niech będzie jednak: „Zatoka Nowowiejska".

Przechodzimy pod mostem w Nowej Wsi Zbąskiej i stawiamy maszt. Po obu stronach las. Przed nami w wodzie w dali widać ruch łodzi, taniec żagli. Na brzegach siedzą, w wodzie stoją wędkarze, a wędkarskie łódeczki cierpliwie tkwią odbiciami w lustrze jeziora. Wiatry tu wieją kapryśne, z różnych stron. Odbijają się od ścian lasu. Mamy ładną zabawę w ich chwytanie w żagle. O kilkaset metrów od mostu lewą burtą mijamy ośrodek wędkarski kolejarzy. Brzeg wznosi się stromą skarpą zarośniętą gęstym liściastym parkiem. Kamienne schody prowadzą w ten gąszcz. Na górze stoi pałac. To Nowa Wieś Zamek. Posiadłość ta należała do dóbr zbąszyńskich. Od połowy XIX wieku zamieszkał tu hrabia Julian von Lippe Biesterfeld. Starą zbąszyńską rezydencję ogołocono z detali jeszcze nie zniszczonych i wzbogacono nimi wnętrze i otoczenie nowej siedziby panów włości nad Błędnem. Interesujące, że Traktat Wersalski przyznał Nową wieś Zbąską i Nądnię Polsce, pozostawiając po niemieckiej stronie granicy majątek zbąski. Odegrały tu rolę zakulisowe względy i sympatie oficerów z międzynarodowej komisji wytyczającej granicę. Podobno niepospolita piękność pani na zamku odegrała tu niepoślednią rolę. Ale nie zajmujemy się plotkami!

U stóp skarpy pod zamkiem widzimy rozległy ośrodek sportów wodnych LOK we Wrocławiu. Tutaj odbywają się kursy na stopnie żeglarskie. Niemal po sąsiedzku, za cyplem, wbudowano w skarpę domki OW „Relax" z przystanią raczej rekreacyjno-plażową. Po przeciwnej stronie, w Perzynach na skraju lasu jest pole biwakowe i plaża. I „Relax" i plaża w Perzynach otwierają niczym wrota widok na wspaniały obszar Błędna z panoramą Zbąszynia w oddali.

WOJCIECH KUCZKOWSKI
Zdjęcia i mapka – autor

Zbąszyński szlak (3)

Na Błędnie i w Zbąszyniu

Przewodniki opisujące między innymi szlak Obry ostrzegają: „Jezioro bardzo niebezpieczne, tworzy łatwo wysoką falę".

Rzeczywiście, dla kolegów kajakarzy może być przeszkodą, ale wiatr i fala dla żeglarzy to sam miód. Przy okazji – wiatry tu wieją dobre. Mają się skąd rozpędzić – od północnego zachodu. Płasko jest w tym kierunku i nisko: dopiero półtora kilometra na północ od Błędna jest 60,4 m n.p.m., niespełna dziesięć metrów nad lustrem jeziora. Błędno przypomina mi Niegocin, a Zbąszyń – Giżycko. Oczywiście w czterokrotnym pomniejszeniu, bo Giżycko ma 30 000 mieszkańców wobec 7 000 zbąszynian. Przewaga Zbąszynia polega jednak na tym, że mało kto w Polsce wie, gdzie to jest; a Błędna, że w jego wodzie dozwolona jest kąpiel na plażach w Zbąszyniu, Nowej Wsi, Perzynach i Nądni. Jednak eutrofizacja, to znaczy przeżyźnienie tutejszej wody składnikami nieorganicznymi (głównie nawozy sztuczne) i organicznymi (nawozy naturalne), spływającymi z pól z wodą deszczową, powoduje mniejszą przejrzystość wody. Dużą rolę w utrzymywaniu biologicznej jakości Błędna odgrywa wielka naturalna oczyszczalnia, trzciny przede wszystkim, wychwytujące szkodliwe składniki i magazynujące je w zielonej masie. Ogromną rolę odgrywa także falowanie wody, spełniające funkcję natleniacza.

Świat przyrody Błędna

Dwustumetrowej szerokości pas oczeretów zajmuje około 80% linii brzegowej. Przeważają trzciny nad wyraz dorodne, dochodzące do 3,5 metrów wysokości! Towarzyszą im zwarte skupienia oczeretu jeziornego, pałka wąskolistna, manna mielec, kosaciec, czyli irys – królewska ozdoba wśród zieleni, szczaw lancetowaty, tojeść pospolita i inne – dużo mniej roślinności znajdziemy przy brzegach Zatoki Nowowiejskiej. Obszar zajęty przez rośliny wynurzone liczy około 48 ha. W osłoniętych zatoczkach, zwłaszcza na północy, latem woda pokrywa się niemal całkowicie pływającymi liśćmi grzybieni z wielkimi białymi kwiatami i grążeli żółto kwitnących. Także wielkie jest bogactwo roślin zanurzonych, tworzących podwodne łąki na znacznych obszarach dna. Są to rdestnice i ramienice, ulubiony pokarm łabędzi. Nic też dziwnego, że i świat zwierzęcy występuje tu obficie. Jak podaje Andrzej Jermaczek w publikacji „Przyroda okolic Zbąszynia", policzono na wysokości Perzyn gniazdujące ptactwo w pasie długości 1 km i szerokości 50–100 metrów. Było tu 79 par ptaków należących do 10 gatunków, w tym 35 trzcinniczka, po 10 łyski i trzciniaka, 9 potrzosa, po 4 perkoza dwuczubego i wodnika, 3 brzęczki, 2 krzyżówki i po parze błotniaka stawowego i głowienki. Równie ciekawie jest w czasie przelotów sezonowych ptaków. Przez Błędno prowadzi szlak – tafla jeziora i zarośla są miejscem odpoczynku strudzonych wędrowców z północnych krain, bywało, iż naliczono ich 7 000! Wielkim stadom towarzyszą orły bieliki. A ze ssaków Błędna można wspomnieć o dość licznie mieszkających piżmakach. Ryb jest kilkanaście gatunków: króluje leszcz – roczny odłów (podaję za Andrzejem Jermaczkiem) wynosi ok. 20 ton, następna pod względem liczebności jest płoć. A w ostatnich dziesięcioleciach zamieszkały tu przesiedlone przez ludzi azjatyckie gatunki roślinożerne: amury i tołpygi. Niesłychanie pożyteczne, powstrzymują zarastanie jeziora. Rzucają się w oczy liczne mięczaki: ślimaki i małże, tu wspomnieć należy o raciczniczy, której zaskakującą ekspansję z rejonu Morza Czarnego na całą Europę można zaobserwować – na brzegach Błędna leżą zwały skorupek tego małża. Oblepiają one przedmioty na dnie, przyczepiają się do dna łodzi. Tych parę zdań o tutejszej przyrodzie zacząłem od śpiewu ptaków, wypada więc skończyć na równie koncentujących uwagę zwierzętach: żabach wesołuchach, największych polskich żabach wodnych.



Baszta zamkowa przegląda się w fosie.

Od kasztelana Czcirada

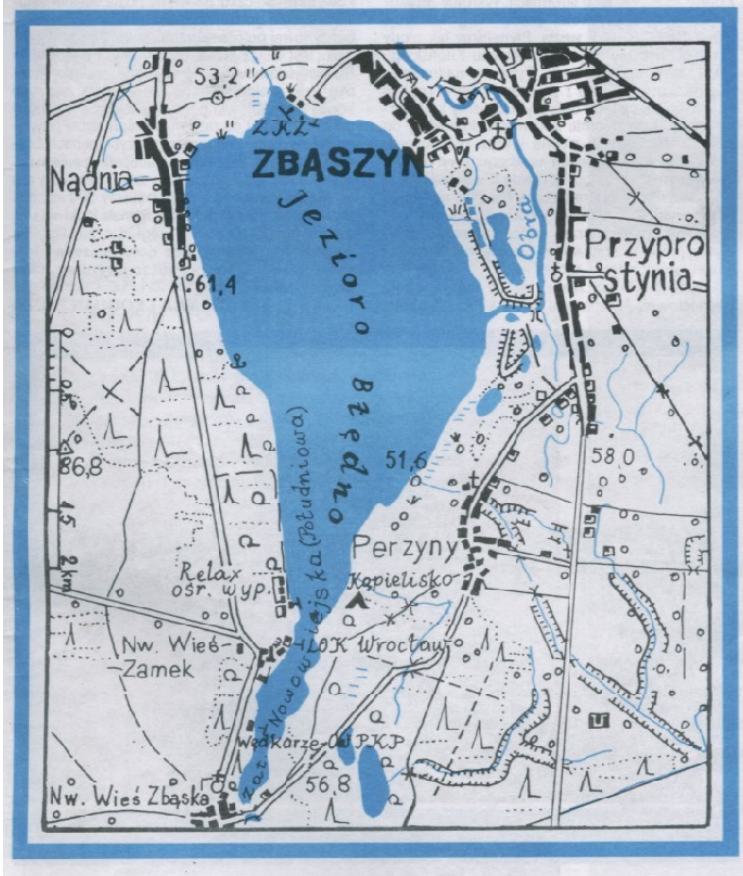
Sławnym i uznanym mężem był kasztelan zbąszyński Czcirad, skoro Władysław Odonic, książę Wielkopolski wydając z 1231 roku dokument dla katedry wrocławskiej powołał go na świadka wydarzenia. A ponieważ nie znaleziono żadnego wcześniejszego dokumentu z choćby wzmianką o Zbąszyniu, odtąd można liczyć pisaną historię grodu nad Błędnem. Toczyły się wówczas bratobójcze walki Piastów wielkopolskich z Piastami śląskimi. Jeden z nich, Bolesław Łysy Rogatka, przynaglany pieniężną potrzebą, sprzedał w 1249 roku Ziemię Lubuską po obu stronach Odry margrabiom brandenburskim. Niemcy stanęli u wrót Zbąszynia, który nagle stał się grodem pogranicznym u przeprawy przez Obrę. W pobliżu, na kępie w zakolu Obry, powstało miasto, wyniesione ponad otaczające je od południa i zachodu moczary, a od wschodu i północy kolano Obry. Kiedy to się stało? Nie wiadomo: dokumenty zaginęły gdzieś w mrokach historii. Nastał długotrwały okres wojen i Zbąszyn przechodził z rąk do rąk, aż w 1338 roku wszedł na trwałe, do rozbiorów, w skład Korony. Jako miasto leżące na ważnym trakcie handlowym na Łużyce i Miśnię było siedzibą komory celnej. W tym właśnie czasie miasto było oficjalnie lokowane ze wszystkimi tego konsekwencjami. Możny ród Głowaczów wszedł w posiadanie miasta w 1393 roku – zwrot pożyczki zaciągniętej przez Władysława Jagiełłę od Jana Niemiery i Abrahama herbu Nałęcz. Z czasem od nazwy miasta Głowacze przyjęli nazwisko Zbąskich. Przejęli oni na miejsce zamieszkania gród pokasztelański i przebudowali na zamek – rezydencję obronną. Syn Jana, Abraham, sędzia generalny Wielkopolski w trzydziestych latach XV wieku stworzył tu centrum husyckie. Biskupi poznańscy Stanisław Ciołek i Andrzej z Bnina najechali na Zbąszyń, rozpoczęli oblężenie i wymusili na Zbąskim wydanie pięciu husyckich księży, których postawiono przed biskupim sądem osądzono i spalono na stosie. Zbąscy uratowali się kosztem wyrzeczenia się poglądów i złożenia przysięgi na wierność kościołowi katolickiemu. Ostatnim i jednocześnie najsławniejszym ze Zbąskich był Abraham, rówieśnik Jana Kochanowskiego, wybitna osobowość renesansowa. Studiował w Byzylei, gdzie konaktował się ze sławnymi przedstawicielami Reformacji. Cieszył się popularnością wśród wielkopolskiej szlachty do tego stopnia, że po śmierci ostatniego Jagiellona znalazł się na liście kandydatów do tronu jako przedstawiciel stronnictwa piastowskiego. Ambitny wielmoża postanowił rozbudować rezydencję na miarę swego wyobrażenia o własnej

potędze. Zajęty polityką nie interesował się gospodarowniem i dobra swoje zadłużył, a po swoim zgonie w wieku lat 46 pozostawił wdowę i dwie córki z rozpoczętą ogromną inwestycją i brakiem środków na jej ukończenie.

Córka Anna wyszła za wojewodę kaliskiego Janusza Ciświckiego, który usiłował jeszcze cignąć budowę, ale pozostawił po śmierci „ruinę w budowie". Dopiero w 1627 roku wnuk ostatniego Zbąskiego postawił wieżę wjazdową wtopioną w wał siedemnastowiecznej twierdzy. Na południcwej elewacji wieży zamieszczona jest tablica z łacińską inskrypcją, po polsku brzmiącą: „Warownia ta rozpoczęta przez Dziada, świętej pamięci Pana Abrahama ze Zbąszynia Zbąskiego, teraz zaś wznoszona dalej pomysłem, kunsztem, wielkim wysiłkiem i kosztem Dostojnego Pana Abrahama z Ciświcy Kasztelana Śremskiego dla Ojczyzny oraz – najdroższych, wolnych przyjaciół rodziny w potrzebie pozostających. Roku 1527 dnia 30 października." Jako dzieło Abrahama Ciświckiego powstała twierdza typu staroholenderskiego o ziemnych bastionach i kurtynach, oblanych od zewnątrz fosą i tylko w partii wjazdowej wzmocnionej murami policzkowymi. Fortyfikacje przetrwały po stronie północnej, częściowo wschodniej i południowej wraz z zarysami bastionów: północno- i południowowschodniego oraz fragmentu północnozachodniego. Bastiony o ostrych kątach czół połączone były krótkimi odcinkami wałów kurtynowych. Pałac wewnątrz twierdzy, „palazzo in fortezza", jest unikatem na terenie Wielkopolski. Szkoda wielka, że już nie istnieje. W 1907 już zrujnowane resztki kazał wysadzić w powietrze major von Kitzling, który go kupił od ostatniego właściciela Ernsta von Lippe – Detmolda w 1898 roku. Von Lippowie siedzibę dóbr zbąszyńskich w połowie XIX wieku przenieśli do pałacu nowowiejskiego na drugą stronę jeziora. Ogołocili wówczas pałac zbąszyński z resztek dawnej świetności na rzecz siedziby w Nowej Wsi. Do dziś przetrwało jednak podzamcze, czyli wielkie piwnice stajenne, ze wspomnianą w pierwszym odcinku „Zbąszyńskiego Szlaku" restauracją, może najcenniejszy fragment założeń przestrzennych posiadłości. Jest to park wielkiej piękności założony i pielęgnowany szczególnie pieczołowicie przez Garczyńskich, zwłaszcza przez protoplastę rodu na Zbąszyniu, wojewodę poznanskiego – Stefana – w XVIII wieku. Nawet kiedy w XIX wieku był już w ruinie, jego właściciele hrabiowie Lippe, mieszkający w nowowiejskim pałacu, c park dbali troskliwie i otworzyli go mieszkańcom Zbąszynia dla rekreacji. Do dziasiaj im służy – także turystom, którzy oby jak najliczniej odwiedzali miasto nad Błędnem.



Kajaki na Obrze w Zbąszyniu



Lata 1793–1806 był to okres zaboru pruskiego, 1806–1815 Księstwa Warszawskiego, zaś 1815–1919 znów zaboru pruskiego., Wielkiego Księstwa Poznańskiego. W styczniu 1919 mieszkańcy Zbąszynia jako powstańcy wielkopolscy wyrąbali niepodległość dla siebie i do zawarcia pokoju pół roku później trwali na linii frontu wzdłuż jezior i baglen obrzańskich. W okresie międzywojennym zbudowali nowoczesny budynek dworca kolejowego, pełniącego ważną funkcję stacji granicznej na transkontynentalnym szlaku wschód – zachód. Kolejarze też, w roku 1930, powołali do życia klub żeglarski, którego spadkobiercami są mili zbąszyńscy żaglarze z ZKŻ. Majątek zbąszyński należał przed wojną do rodziny Skórzewskich, którzy park udostępnili, podobnie jak ich poprzednicy, mieszkańcom Zbąszynia. Po wybuchu wojny jednostki Obrony Narodowej broniły granicy z początkowym sukcesem. Okupacja była okresem dla dzisiejszych pokoleń niewyobrażalnie ciężkim. Nie było mowy o polskiej szkole ani o polskim kościele. Połowa ludności została brutalnie wysiedlona do Generalnej Guberni, a około tysiąca osób poniosło męczeńską śmierć w obozach koncentracyjnych. Po przepędzeniu Niemców przez Armię Czerwoną, w czasie ofensywy styczniowej 1945 roku, mieszkańcy Zbąszynia stanęli do odbudowy swojego miasta. Dziś możemy oglądać sympatyczne i zadbane miasteczko z troskliwym samorządem, a co dla nas, żeglarzy, ważne – ze świetnymi warunkami do uprawiania żeglarstwa.

Do zobaczenia w Zbąszyniu – ahoj!

■ **WOJCIECH KUCZKOWSKI**
foto: ZBIGNIEW ZIMNY

Żeglarska towarzyska “tratwa” na pożegnanie lata. (07.09.2003 r.)



Tęcza “kąpiąca się” w jeziorze po ulewnym deszczu (25.07.2004 r.)





Poranek na Jeziorze Błędno. Po deszczu jest słońce.



Toaleta poranna z saperką na relingu. Sierpień 2004 r.